

Janusz Sławiński

Miejsce interpretacji

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (35), 27-44

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Janusz Sławiński

Miejsce interpretacji

1. Wciąż ukazują się w nadmiarze książki literaturoznawcze, odbywają się uniwersyteckie wykłady o sztuce pisarskiej różnych epok, studenci nadal muszą sposobić się do egzaminów z historii i teorii literatury, korzystając przy tym z systematyzujących wiedzę podręczników i skryptów, uczestnicy olimpiad polonistycznych pracowią i metodycznie rozszyfrowują prawdy przekazywane w dziełach, starając się sprostać oczekiwaniom akademickich jurorów, w najlepsze pracują katedry, zakłady, instytucje pomnażające i upowszechniające wiedzę o literaturze — a przecież fakt, że cała ta instytucjonalna maszyna znajduje się w ruchu, musi wydawać się czymś dziwnym i prawie niezrozumiałym w świetle napływających zewsząd wieści o kryzysie epistemologicznym, który od przeszło ćwierćwiecza nieprzerwanie trawi literaturoznawstwo, prowadząc do zupełnego rozchwiania jego podstaw. Gdyby całkiem poważnie traktować wszystkie oświadczenia poststrukturalistycznych rewizjonistów, manifesty sceptycyzmu poznawczego, arie wyznawców derridianizmu i dekonstrukcji, wyśpiewywane na tyłu światowych scenach i gorąco oklaskiwane, należałoby uznać, że dyscyplina nasza nie ma już po prostu prawa istnieć, a my wszyscy dawno powinniśmy rozejść się do innych zajęć, pozostawiając na placu jedynie tych, co potrafią wymownie rozprawić o odmianach jej nieobecności. Czy możliwe jest praktykowanie historii literatury, która nie pozosta-

je wyłącznie bibliografią i faktografią? Tylko naiwny potrafi zadać takie pytanie. Oczywiście nie jest możliwa żadna historia literatury – odpowie mu miarodajnie międzynarodowy chór progresywnych doktorantek. Na jeszcze głębszą niemożliwość skazane jest myślenie teoretyczne o literaturze: wszelkie konstrukty, modele, systematyzacje stały się czymś tak podejrzanym, że nie wypada wręcz o nich wspominać w dobrych towarzystwach. A może interpretacja dzieła? – zapyta ktoś z nadzieją. Narazi się tylko na szyderstwa: nic takiego, jak dziczo, nie istnieje!; to jakiś byt urojony, w który wierzyli nasi pradziadkowie, na szczęście spoczywa wraz z nimi w głębokim grobie. Może więc interpretacja tekstu? – zaryzykuje inny, bardziej od tamtego uświadomiony. To już prędzej, odpowiedzą mu biegli w tym, co teraz słuszne. Musisz wszakoż wiedzieć, że twoja interpretacja z góry jest skazana na mylność; nie łudź się, że uda ci się odczytać tekst w sposób, który mógłby być obligujący dla kogokolwiek innego, że znajdziesz jakiś obiektywnie „właściwy” klucz do jego znaczeń; w tekście odkryjesz akurat to, co weń zainwestowałeś, czyli po prostu – własną interpretację; jeśli więc świadomość tego nie zepsuje ci zabawy, możesz do woli oddawać się interpretacji. Nie wiadomo jednak, czy należycie sobie uprzytamniasz, co naprawdę chciałbyś interpretować. Łatwo bowiem powiedzieć: tekst – i ulec zdroworozsądkowym iluzjom, że mówi się o czymś mającym bytową autonomię i dostępnym badaczowi w swojej odrębności i kompletności. W rzeczywistości nie jesteśmy w ogóle w stanie doświadczyć jakiegokolwiek autonomii tekstu; dociera on do nas pochłonięty przez bezkresną chmurę intertekstualną, poza którą byłby nie do pojęcia – i wraz z nią musi być odczytywany. Daremny to wszakże trud: próba opanowania takiej chmury. Twoja interpretacja nigdy jej nie sprosta, gdyż nie sposób ogarnąć bezgraniczności możliwych kontekstualizacji tekstu; jedynie pewne jest to, że tekstem swojej własnej – nieudanej – interpretacji nieznacznie dołożysz się do obszaru intertekstualnego, którego dotknąłeś – jedną zmarszczką na jego poruszonej powierzchni.

Pozostaje więc tylko wyć z rozpacz, albo rozejrzeć się za grubym sznurem konopnym. Cokolwiek chciałoby się pochwycić, natychmiast umyka w nieokreśloność, przeistacza się w fantom, chowa się w nieobecności; najprostsze działania badawcze okazują się niewykonalne, nieprawomocne lub absurdalne; każde zadanie wydaje się ponad siły

— obciążone monstrualną niemożnością jego podjęcia. Można by sądzić, że rozplynął się po prostu jakikolwiek przedmiot dociekań literaturoznawczych, że dyscyplina nasza roztrwonila wszelkie konstytuujące ją dotąd upewnienia poznawcze, że utraciła grunt, na którym się wspierała, a wraz z nim — rację bytu.

Godne jednak uwagi, że od tych wysoce przygnębiających (choć i ekscytujących) myśli o kresie dyscypliny większość z nas jak gdyby nigdy nic przechodzi bez dalszych hamletyzowań do normalnych prac zawodowych, które podtrzymują i utwierdzają jej egzystencję: trzeba wszak napisać zamówiony artykuł o konieczności piątej warstwy w Ingardenowskim modelu dzieła literackiego, wyjaśnić studentom, kto naprawdę jest adresatką *Rozłączenia* Słowackiego, zaopiniować rozprawę doktorską o narracji personalnej w powieściach Żeromskiego, zarekomendować do druku książkę młodego autora o autobiograficznych sekretach pisarstwa Berenta... Gdy patrzeć na terażniejszą wiedzę o literaturze od strony jej powszednich zadań, rutyny podejmowanych zobowiązań i robót, może się ona wydawać instytucją osobliwie stabilną — uodpornioną na zagrażające jej zewsząd przełomy, przewroty, akty likwidacyjne czy nihilistyczne zamachy. Nie widzę powodów, aby zamęt wątplenia, dzisiaj z nią związany, uznawać za mocniej rzeczywisty od wciąż stabilnej codzienności, pośród której toczy się nasze życie zawodowe: dociekanie i nauczanie. Czy myślenie o powinnościach i procedurach literaturoznawstwa ma zakorzeniać się właśnie w owym zamęcie (pomnażając go tym samym), czy raczej w uparciu zwykłych zadaniach dyscypliny, zdążając do wytłumaczenia, na czym one polegają i co sprawia, że są (muszą być) podejmowane nadal? Dla myślenia takiego dużo poważniejsze wyzwanie stwarza, jak sądzę, trwała normalność, czy jeśli ktoś woli — tradycyjność praktyk literaturoznawczych, niż najbardziej skrajne zachęty do ich demontażu, skądinąd fantasmagoryjnego.

2. Najważniejszym może z elementów owego wyzwania pozostaje zagadnienie interpretacji (dzieła, tekstu, przekazu...), a dokładniej: sprawa jej usytuowania i potrzeby w obrębie akademickiej wiedzy o literaturze. Należy ta sprawa do niezmiennie gorących tematów w wewnątrzdyscyplinowej komunikacji; każda właściwie orientacja i każde pokolenie badaczy, przynajmniej w biegu ostatnich dziesięcioleci, musi ją na nowo postawić, czy chociażby określić swoje stanowisko wobec uprzednich sposobów jej traktowa-

nia. Bierze się to stąd, że interpretacji bywa przyznawane znaczenie zgoła strategiczne w obszarze dyskursu literaturoznawczego — z pięciu co najmniej powodów.

Po pierwsze, zdolność podejmowania inicjatyw interpretacyjnych gwarantuje dyscyplinie *minimum egzystencji*. Nawet pozbawiona jakiegokolwiek komponentu teoretycznego (taka ewentualność nie byłaby zbyt odległa od idealów co radykalniejszych post-, czy raczej anty-strukturalistów), a więc czynnika, który skądinąd określa jej naukowy status i prestiż, mogłaby utrzymywać się na powierzchni życia akademickiego, gdyby tylko nie zaniedbywała praktyki interpretacyjnej w odpowiednio szerokim zakresie. I bynajmniej nie o to idzie, że miałyby nią kierować intencja ustalania jakichś odczytań pewnych czy miarodajnych; warunkiem koniecznym i zarazem wystarczającym jest, by zapewniała samo nieprzerwane rozmnażanie się (jakichkolwiek) tekstów interpretacyjnych, by troszczyła się o przyrost „już napisanego” o dziełach. Bez wątplenia za takim pojmowaniem owego minimum egzystencji, dość wydawałoby się bez troskim, skrywa się istotna przesłanka, która je w ogóle umożliwia. Otóż w relacjach między domeną teorii a domeną interpretacji występuje znamienna asymetria. Każdy akt interpretacji sam przez się implikuje jakąś teorię (czy teoryjkę) literatury, choćby nawet nie była przez badacza zamierzona ani pożądana; wytwarza (raczej odnajduje) samoczynnie teoretyczne uprawomocnienia — skrojone na swoją miarę. Natomiast żadna teoria literatury sama przez się nie implikuje praktyki interpretacji, choć daje jej mniejsze lub większe szanse; praca interpretacyjna musi dopiero wyłonić się niejako na własny rachunek — jako „dopełnienie” koncepcji teoretycznych, zresztą wcale nie zawsze żywotnie im potrzebne. Tak więc istnieje coś takiego, jak bezwiedne — można powiedzieć: dzikie — teoriiotwórstwo interpretacji; jest ono oczywiste w równej mierze, co z drugiej strony fakt, że teoria literatury nie generuje automatycznie przedsięwzięć interpretacyjnych.

Po wtóre, dorobek interpretacyjny jest bodaj najwymowniejszym świadectwem *efektywnego panowania* dyscypliny nad przeznaczonym jej terytorium przedmiotowym. Takiego panowania nie jest w stanie zapewnić ani najbardziej rozbudowany system pojęciowy dominującej w niej przez czas dłuższy (co już zahacza o fantazję) doktryny teoretycznoliterackiej, ani — na drugim skrzydle —

bogate zasoby faktografii historycznoliterackiej, które udało się jej zgromadzić; dopiero, kiedy dodaje się do tego owocna praktyka rozumiejących odczytań dzieł pisarskich, można zasadnie uznać, że dyscyplina nasza rozciąga poznawczą kontrolę nad światem zjawisk literackich. Czym innym jest bowiem władza sprawowana z oddalenia, która zadowala się jedynie określeniem globalnego „sensu” literatury, a więc teoretycznego konstruktów, czym innym zaś władza działająca także w zbliżeniu do empirycznie dostępnych manifestacji literatury – utworów, zdolna do skutecznego wnikania w ich partykularne znaczenia. Rzecz wymaga tym dobitniejszego podkreślenia, że dziedzina interpretacji tylko w jakiejś części pozostaje na służbie tej czy innej doktryny teoretycznoliterackiej. W przeważającej mierze prawdy interpretacji nie są pochodne względem prawd teorii, lecz odnoszą się do nich komplementarnie. Nieczyste pochodzenie doktrynalne praktyk interpretacyjnych sprawia, że dorobek badawczy przez nie wytwarzany zachowuje w obrębie dyscypliny w ł a s n y ciężar, którego nie sposób zredukować do wiedzy zdobywanej innymi drogami.

Po trzecie, interpretacja to sfera dyskursu literaturoznawczego pozostająca w stosunkowo n a j b l i ż s z e j z a ż y ł o ś c i z m o w ą s a m e j l i t e r a t u r y, a więc ta jego sfera, gdzie ustawicznie wystawiana jest na ciężkie próby powaga relacji między językiem badawczym a obiektem dociekań. W innych dzielnicach owego dyskursu całkiem możliwe jest wytrwale podtrzymywanie niezależności i stałego dystansu względem przedmiotu, tu natomiast bardzo trudno o zachowanie godziwego oddalenia i zadowalającej odrębności. Poznawcze odniesienie metatekstu interpretacji do interpretowanego tekstu ulega najrozmaitszym odkształceniom, gdy ten pierwszy wchłania w siebie – a jest to niemal nieuchronne – promieniowanie drugiego, gdy mowa badacza wchodzi w quasi-dialogowy kontakt z mową przezeń eksplikowaną, gdy cytuje ją, parafrazuje, wadzi się z nią lub jej przyświadcza. Wypowiedź interpretacyjna przybliża się wtedy funkcjonalnie do wypowiedzi literackiej, a bywa nawet, że celowo imituje właściwości takiej wypowiedzi. Terytorium, na którym dyskurs literaturoznawczy w sposób naturalny adaptuje się i upodabnia do języka literatury jest traktowane jako wyjątkowo ważne zarówno przez tych, co uznają tego rodzaju upodobnienie za proces zmierzający we właściwą stronę, jak i przez zwolenników poglądu

przeciwne, pragnących bronić autonomii języka badawczego: gdzie by, jak nie tu właśnie, w miejscu szczególnie zagrożonym, powinni wznosić odpowiednie ubezpieczenia i tamy, chroniące ów język przed inwazją wirusów poetyckości.

Po czwarte, sfera interpretacji jest w sposób oczywisty bliższa niż jakakolwiek inna dziedzina pracy literaturoznawczej nie-fachowemu kontaktowaniu się z literaturą — potocznemu odbieraniu dzieł przez wykształcone warstwy publiczności. Techniki czytania badawczego są zawsze tak czy inaczej zorientowane wobec kulturowoliterackich ograniczeń, preferencji i oczekiwań określonych społeczności czytelniczych, wobec środowiskowych praktyk lekturowych i tkwiących w nich zdroworoządkowych wyobrażeń, związanych z semantyką i aksjologią twórców literackich. Najbardziej wyrafinowanie uniwersytecki interpretator działa chcąc nie chcąc pod naciskiem owych przed-uniwersyteckich uwarunkowań, które wszak kształtowały jego elementarne doświadczenie czytelnicze. W roli badacza musi jakoś uporać się z tym, co go pierwotnie formowało w roli „zwykłego” czytelnika i co dalej pozostaje w nim czynne. Podejmuje więc jawną lub skrytą grę ze znaną mu odmianą czytania potocznego: niekiedy stara się ją uszlachetniać i wzmacniać poprzez nadbudowywanie nad nią odpowiednich procedur czytania i eksplikacji zdolnych zadowolić gusta metodologiczne kolegów-badaczy; kiedy indziej — przeciwnie — usiłuje wypchnąć ją możliwie najdalej poza pole postępowania badawczego i zasłonić całkowicie obcą jej metodyką interpretacji, mogącą znaleźć właściwe zrozumienie jedynie u zawodowych literaturoznawców; najczęściej jednak gra sprowadza się do trudno opisywalnej oscylacji oddaleń i zbliżeń między fachowością a potocznością odbioru dzieł. Jakkolwiek się rzeczy mają, właśnie poprzez pracę interpretacyjną wiedza o literaturze nieprzerwanie ustala swoje relacje z nie-badawczym doświadczeniem literatury; w innych prowincjach dyscypliny taka potrzeba jest daleko mniej wyraźna. Tu natomiast codzienną koniecznością staje się wciąż od nowa powtarzany trud wytyczania granic oddzielających oba rodzaje doświadczeń poznawczych, gdyż bez tego wysiłku pretensje literaturoznawstwa do — jakkolwiek rozumianej — naukowości byłyby w ogóle pozbawione podstaw.

Po piąte wreszcie, to dziedzina interpretacji brana jest przede wszystkim w rachubę, gdy rozważa się sprawę społecznych obli-

gacji naszej dyscypliny. Ilekroć na porządku dnia pojawia się wątpliwość: komu potrzebna jest wiedza o literaturze poza ludźmi, którzy ją uprawiają? — natychmiast uwaga kieruje się ku praktyce interpretacyjnej, gdyż to właśnie o niej powszechnie sądzi się, że przynosi (czy raczej: powinna przynosić) zdobycze użyteczne również na zewnątrz domeny akademickiej. Jest potrzebna głównie szkolnemu nauczaniu, lecz i ogólniej: kształceniu kompetencji czytelniczych „człowieka kulturalnego”, podsuwając nie tylko wzorcowe odczytania utworów uznawanych w danym czasie i miejscu za klasyczne, ale też dostarczając odpowiednich narzędzi, które umożliwiają powtarzanie analogicznego typu lektur wobec innych utworów. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, literaturoznawstwo pozostaje w jakiejś mierze nauką stosowaną, a dotyczy to przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, wytworów aktywności interpretacyjnej i ich „zastosowań” dydaktycznych.

Rzecz wymaga paru słów wyjaśnienia. Otóż przedmiotem szkolnego nauczania czy działalności popularyzatorskiej może być, i jest, zarówno teoria literatury (zawsze jakaś, bo przecież nie ma jednej!), jak poetyka lub wiedza o procesie historycznoliterackim; jednakże w takim wypadku celem dydaktycznym nie jest oczywiście spowodowanie, by nauczany umiał potem na własną rękę sprokurować teorię dzieła czy syntezę epoki literackiej: całkowicie wystarczy, jeśli dowie się z grubsza, na czym tego rodzaju przedsięwzięcia polegają. Inny cel przyświeca nauczaniu interpretacji, gdyż po to demonstruje się wzory rozumiejących odczytań utworów, by dać uczniowi pewną metodykę czytania, by pobudzić, wspomóc i ukierunkować jego zdolność dochodzenia do istotnego sensu w tym, co kiedykolwiek znajdzie się w polu jego lektury. Z tego właśnie względu można mówić o „zastosowaniach”: interpretacja badawcza ma bowiem rodzić swoje przedłużenia w doświadczeniach lekturowych ucznia, znajdować odbicie w jego dalszej wytwórczości interpretacyjnej. Świadomość możliwych oczekiwań tego rodzaju tak czy inaczej towarzyszy badaczowi literatury (nawet, gdy wołałby o nich zapomnieć), co z kolei komplikuje w nim poczucie odpowiedzialności, kiedy angażuje się w działanie interpretacyjne. W jego zamysł włącza się bowiem pytanie, skądinąd nieistotne z punktu widzenia czysto poznawczych zobowiązań interpretacji, o to, w jakiej mierze sposoby, którymi się posługuje, by wydobyć z dzieła właściwy sens, mogą stać się następnie produktywne w dydaktyce, na ile okażą się używalne poza jego własnym użyciem

i w warunkach zupełnie nie przypominających sytuacji metodologicznej, w jakiej sam się znajduje.

3. Powiada się, że siłą sprawczą i motoryczną wszelkiej interpretacji jest potrzeba sensu. Frazes taki puszcza się na ogół mimo uszu, gdyż zbanalizowana słuszność, jaką niesie, nie jest już zdolna rozgrzewać myśli. Jeśli jednak — wbrew chęciom — zatrzymamy go na chwilę w przelocie, aby mu się przyjrzeć, spostrzegamy, że zamyka w sobie wiele różnych spraw, bynajmniej nie całkiem oczywistych. Bo przecież owa potrzeba sensu, o której mówi, może mieć nader rozmaite oblicza — i w każdym wypadku uruchamia inny mechanizm rozwijania interpretacji. Wymieńmy przykładowo parę głównych możliwości. Tak więc potrzeba sensu to:

— Potrzeba *j a k i e g o k o l w i e k* sensu w sytuacji, gdy nie znany przedtem tekst jawi się nam niczym Iwona ze sztuki Gombrowicza: jako obecność, z którą musimy coś zrobić, bo jest nie do wytrzymania w swoim bezznaczeniu; trzeba go zatem wszelkimi siłami zmusić do jakiejś (pierwszej lepszej) sensowności, gdyż tylko w taki sposób potrafimy pogodzić się z jego istnieniem.

— Potrzeba *w i ę c e j* sensu, gdy mamy poczucie, że wydobyte dotąd na jaw znaczenia tekstu nie wyczerpują bogactwa jego semantyki.

— Potrzeba sensu *w ł a ś c i w e g o*, który — jak podejrzewamy — skrywa się w cieniu rozpoznanych dotychczas w tekście znaczeń drugorzędnych, peryferyjnych czy maskujących.

— Potrzeba utwierdzenia się *w m i a r o d a j n e j* wykładni (odwiecznej, kanonicznej) tekstu, wywołana niezgodą na „rozszarpywanie” jego znaczeń — w wykładniach nieodpowiedzialnych, stronniczych, napędzanych nieposkromioną żądzą oryginalności i nowości.

— Potrzeba całkiem *i n n e g o* (jeszcze nie znanego, choć może przezuwanego) sensu i towarzyszący jej imperatyw rewizji wszystkich dotychczasowych wykładni tekstu (wśród nich zwłaszcza kanonicznej).

— Potrzeba beztroskiego doświadczenia nieograniczonej *w i e l o - z n a c z n o ś c i* tekstu: chęć poddania się wszelkim znaczeniom, jakie można w nim rozpoznać (a nawet mu wmówić) — bez obowiązku ich wybierania lub hierarchizowania.

— Potrzeba *u w o l n i e n i a* się od męczącej obfitości możliwych

znaczeń tekstu: dążenie do poskromienia tego nadmiaru, wola poszukiwania rozjaśnień i ujednoznaczeń.

Już te wybrane warianty „potrzeby sensu” pokazują, jak dalece różne mogą okazać się punkty wyjścia (i cele) działania interpretacyjnego. Stając w którymś z nich, interpretator wkłada na siebie rolę, w której pragnie wystąpić, a zarazem mniej czy bardziej bezpośrednio kategoryzuje role, będące negatywnym tłem jego własnej. Jeśli podaje się za radosnego pluralistę, z wywyższością będzie traktował poszukiwaczy jedynie słusznego rozumienia; jeśli uważa się za strażnika kanonicznej wykładni, nie będzie tolerował rewizjonistów, występujących z inicjatywami wykładni alternatywnych; jeśli zadowala go skromna praca glosatora tekstu, z najwyższą nieufnością odniesie się do zwolenników interpretacji totalnej; jeśli chętnie wchodzi w rolę demystyfikatora (czy apologety) dzieła, znajdzie tylko słowa szyderstwa dla jego „obiektywnych” analityków; i tak dalej.

Dostrzegając różnorodność możliwych punktów wyjścia i celów interpretacji, bogactwo modalności, w których się manifestuje, nie powinniśmy wszakże zamykać oczu na fundamentalną (więc oddaloną) wspólnotę ich motywacji. Żadne myślenie o różnorodności odmian potrzeby sensu nie będzie zadowalające bez wskazania na to, co tę potrzebę każdorazowo wyzwała i uzasadnia, a więc na czynnik pierwotny, sprawczy wobec jej sprawczości i dalej już nieredukowalny. Poruszając się tą koleiną, musimy niezawodnie dojść w pobliże trudnej do omińnięcia idei, która do dziś pozostaje najbardziej realistyczną diagnozą zjawiska interpretacji — myślę o idei Nietzschego, że „interpretacja jest środkiem do tego, by czymś z a w ł a d n ą ć”. Odnaleźć w dziele potrzebny sens to tyle, co wziąć je we władanie, a więc włączyć w obszar, który interpretator uznaje za swój — w życie duchowe jego czasu i środowiska, w sferę działania instytucji, której program urzeczywistnia, czy w system wiedzy, który jest dlań obowiązujący.

Ta jasna idea sprawia kłopot, ponieważ ujawnia prawdę, która dla wielu jest przykra, czy wręcz nie do przyjęcia: że mianowicie dzieło pada łupem działań interpretacyjnych, że jest od nich nieuleczalnie s ł a b s z e (choć nie bezbronne), że jego dotychczasowy potencjał znaczeniowy nigdy nie wystarcza, by oprzeć się skutecznie roszczeniom semantycznym kolejnego zdobywcy. Ten, przynajmniej na krótką metę, zawsze sobie z dziełem poradzi, jeśli dysponuje odpo-

wiednim aparatem ukierunkowanego czytania. Aparat taki rzadko tylko stanowi jego wyłączną własność; w znacznej mierze znajduje się jedynie w użytkowaniu interpretatora, podczas gdy prawowitym właścicielem pozostaje środowisko odbiorcze, w którego imieniu dokonuje on zawładnięcia (w przypadku, który nas tu wyłącznie interesuje, jest to środowisko profesjonalnych literaturoznawców).

Nie należy sądzić, że zamiar zawładnięcia wymaga koniecznie dla swej realizacji jakichś radykalnych, gwałtownych, agresywnych form postępowania. W rzeczywistości, jak wiemy, może znajdować wyraz w nader rozmaitych taktykach pracy interpretacyjnej: od takich, które słusznie byłoby wiązać z podbojem, przemocą czy przymusem, po takie, które kojarzyłyby się raczej z łagodną perswazją, troskliwą opiekuńczością czy dyskretną kuratelą. W tym szerokim spektrum mieszczą się i praktyki wywiedzione z różnych „systemów podejrzeń” (jak je zwał Karol Irzykowski), i interpretacja mająca na celu „przyswojenie” (w koncepcji Paula Ricoeur’a: „aktualizacja znaczenia tekstu dla obecnego czytelnika”), i uparte ponawianie tradycyjnej wykładni, i filologiczne dłubania w semantyce tekstu.

Niemniej u podstaw każdej taktyki potrafimy przecież odnaleźć ową pierwotną zaborczość, która je wszystkie warunkuje. Nie tylko przemoc wszak służy efektywnemu zawładnięciu; dobrze wiadomo, jak zaborcza potrafi być miłość (także do tekstu). I właśnie świadomość, że tak się naprawdę rzeczy mają, podminowuje samopoczucie teoretyków interpretacji. Tylko nieliczni potrafią ją zaakceptować bez nadmiernych dramatyzowań. Dla niektórych staje się powodem generalnego odrzucenia interpretacji jako postępowania nagannego i szkodliwego, pozbawionego respektu dla dzieła, naruszającego jego autonomiczne prawa, zadającego mu gwałt, wymuszającego posłuszeństwo wobec bezprawnej wszechwładzy interpretatora. Takie odrzucenie proklamowała swego czasu Susan Sontag, przeciwstawiająca interpretacji potrzebę „erotyzmu” w kontaktowaniu się z utworami; ten wątek rozwinie potem Roland Barthes. Większość jednak uczestniczy w zacieraniu nieprzyjemnej prawdy, starając się ją schować w cieniu rozwijanej na różne sposoby opowieści o szlachetnym hermeneucie, który nie tylko wyrzeka się jakiegokolwiek postawy zaborczej, ale gotów jest na każdym kroku głosić, że to właśnie on znajduje się we władzy i na służbie tekstu (w tym zdaniu parafrazuję myśl Gadamera). Służba, którą z radością pełni, sprowadza się do

ufnego poddawania się inicjatywie dzieła, do pozbawionego uprzedzeń i wyprzedzeń wsłuchiwanie się w pulsowanie jego semantyki, do cierpliwego wychwytywania płynących stamtąd impulsów. Aby nie krzywdzić dzieła usilnie stara się rozbroić: wycisza swoje oczekiwania, powściąga presumpcje, porzuca standardowe instrumenty analizy, po to, by samo dzieło mogło go naprowadzić na właściwy sposób odczytania. Jest istotą tolerancyjną, pełną dobrej woli i życzliwie otwartą na inność (Inność). Będzie za to nagrodzony: dzieło powierzy mu swoje tajemnice i uprzystępni istotny sens.

Tego rodzaju hipokryzja przenika całą właściwie myśl hermeneutyczną, i to nawet wtedy, gdy ta potrafi skądinąd jasno i realistycznie określać charakter pracy interpretacyjnej. Ciekawe, że chyba najsilniej stała się odczuwalna w radykalnej hermeneutyce dekonstrukcjonistów, gdzie wysofistykowanej samowoli praktyk interpretacyjnych, uzasadnianej przekonaniem o iluzoryczności obiektywnego, suwerennego bytowania tekstu i znaczenia, towarzyszą pełne świętoszkowości deklaracje o poszanowaniu „inności” tekstu (jakże liczne u Jacquesa Derridy, prawodawcy kierunku), o „całkowitej pokorze wobec tekstu” (Paul de Man), czy wręcz kodeksy moralne („etyka czytania” J. Hillisa Millera), zobowiązujące badacza do powstrzymania się od działań mogących naruszać godność tekstu, do wykluczenia z lektury teoretycznych aprioryzmów, i ogólnie do lojalności i przyjaznego stosunku względem czytanego. Mogłoby się wydawać, że cała hermeneutyka to nic innego, jak stowarzyszenie opieki nad prześladowanymi dziełami, ruch obrony ich praw, zagrożonych przez niegodziwe sposoby czytania.

Jak każda obłuda, również i ta może zapewne mieć pozytywne znaczenie pedagogiczne, sprzyja bowiem upowszechnianiu budującej fikcji: że niby interpretacja zdąża do ideału jakiejś *l e p s z e j* komunikacji — prawdziwie partnerskiej, zakładającej akceptację odmienności, powściąganie uprzedzeń i cierpliwe wnikanie w cudze racje. Jednakże z pewnością nie pomaga zrozumieniu, co naprawdę czyni interpretator. W owej fikcji pedagogicznej jego działania przypominają coś na kształt odświętnego rytuału, szczelnie odizolowanego od zgiełku codzienności, odprawianego poza wszelkimi zewnętrznymi presjami, bezinteresownie i w namaszczeniu. Celebrans uwalnia się od zobowiązań, które by go wyciągały poza rytuał, wybiera duchowe

osamotnienie, i dlatego może bez przeszkód podążać — jak powiada Ricoeur — „za wezwaniem tekstu”.

Rzecz w tym, że interpretacja w ogóle nie jest żadną odświętnością, lecz należy do najpowszedniejszej prozy badań. Już samo jej podjęcie stanowi często następstwo zupełnie banalnych obowiązków: trzeba na przykład wykazać się odpowiednimi sprawnościami, by uzyskać doktorant, czy przeprowadzić cykl zajęć zaznajamiających studentów ze sztuką wnikliwego czytania. Swojej pracy z tekstem badacz nie może więc nie relatywizować do pewnych standardów uznawanych przez tych, co go będą oceniać, lub — kiedy indziej — do stopnia przygotowania i zainteresowań słuchaczy. Jakikolwiek byłyby jego obligacje czy powinności zawodowe, nieodmiennie mobilizuje w procesie interpretacyjnym instrumenty poznawcze będące, jak już mówiłem, własnością pewnej wspólnoty (dyscypliny, szkoły naukowej, środowiska). Korzystając dla swoich celów z dorobku tej wspólnoty — z określonych zasobów pojęciowych, ze sprawdzonych procedur analitycznych, z usystematyzowanych problematyk — włącza się tym samym w komunikację, która ją wewnątrznie ożywia i umacnia. Z pewnością więc nie pozostaje sam na sam z tekstem, lecz wchodzi w sytuację komunikacyjną; rozwijana przezeń wypowiedź poniekąd zwraca się do owej wspólnoty, odwołuje się wprost lub pośrednio do jej przeświadczeń i dających się przewidzieć osądów. Co więcej, w akcie interpretacji zawsze chyba występuje element współzawodnictwa: dane odczytanie utworu ma przewyższyć uprzednie odczytania, gdyż inaczej byłoby zbyteczne. Nowa interpretacja dzieła już przez innych zgłębianego jest tak czy inaczej reinterpretacją, która sprowadza się tyleż do skuteczniejszego zawładnięcia jego potencjałem znaczeniowym, co do zwycięstwa interpretatora nad konkurentami.

Jak widać, ma on kłopot nie tylko z zagadkami utworu; kłopotów dostarcza mu również własna sytuacja, gdy przystępuje do gry: musi jakoś uplasować się ze swoją wypowiedzią w przestrzeni wyznaczonej przez (rzeczywistych czy przypuszczalnych) współzawodników, musi zestroić swój zamysł z podręcznym sprzętem badawczym, z kolei ów sprzęt wypada uzgodnić z wymogami, jakie stawia preferowany przezeń model wiedzy o literaturze. Wszystko to razem nie pozwala myśleć o relacji interpretator-tekst jako o układzie izolowanym, tłumaczącym się immanentnie.

4. Mówiłem przedtem o rozmaitych odmianach „potrzeby sensu”, poprzedzających akt interpretacji. W każdym wypadku jej drugim obliczem jest – oczywiście – poczucie deficytu rozumienia, związane z danym tekstem. Występuje jakaś trudność w dotarciu do tego, co – jak się domyślamy – stanowi sferę jego znaczeniowej istotności, stwarzającą rację bytu całemu przedsięwzięciu pisarskiemu; trudność taka okazuje się nie do przezwyciężenia dla lektur potocznych: tak czy owak ześlizgują się one po powierzchni przeszkody, za którą chowa się przed czytelnikiem potrzebny sens. I to właśnie uzasadnia konieczność wdrożenia interpretacji badawczej, która powinna zaradzić deficytowi rozumienia. Bez takiego wstępnego rozjątrzenia niedostępnością tekstu, interpretacja w ogóle nie byłaby usprawiedliwiona, chyba że miałaby cele czysto dydaktyczne. Toteż często znaczna część wysiłku interpretatora musi iść na to, by pokazać, jak dramatyczne są trudności ze zrozumieniem tekstów stosunkowo prostych w danej kulturze literackiej. Usilnie piętrzy wtedy przeszkody na drodze ku znaczeniom, które bez jego zabiegów byłyby łatwo osiągalne; zdarza się więc, że postępuje jak strażak, przebiegły i zarazem szalony, który sam wznieca pożary, by mieć potem co gasić...

Interpretację literaturoznawczą tworzy splot trzech nastawień – nigdy nie pozostających między sobą w stanie pełnego zrównoważenia. Co innego jej ciążenie ku tradycyjnie przypisywanym literaturze wartościom i powinnościom oraz ku ugruntowanym w kulturze literackiej danego czasu i miejsca normom właściwego czytania dzieł różnych kategorii; co innego jej ciążenie ku czynnościom analitycznym, mającym metodologiczne uprawomocnienie na gruncie wiedzy akademickiej; co innego wreszcie jej ciążenie ku niemethodycznemu dochodzeniu do sensu dzieła. Najpierw więc mamy do czynienia z konserwatywnym żywiołem interpretacji – z jej aksjologicznymi przywiązaniami, z opiekuńczym lub mentorskim stosunkiem do dzieł, ze skłonnością do autorytatywnych ocen, z preferowaniem takich sposobów wglądu w tekst, które odpowiadają wymogowi, że „tak się zwykło dotąd robić”. Drugi współczynnik tworzą usystematyzowane procedury badania tekstu, podpadające pod kryteria sprawności i efektywności. Osiągnięte każdorazowo rozumienie tekstu jest następstwem ich odpowiedniego zastosowania: droga do poszukiwanego sensu wiedzie planowo poprzez kolejne pociągnięcia analityczne

i eksplikacyjne. Natomiast trzeci współczynnik obejmuje to, co w interpretacji pozostaje nieproceduralne, co wydaje się owocem bardziej intuicji interpretatora niż jakiegokolwiek metody, co ma charakter spontaniczny, nieodpowiedzialnie ryzykancki, awanturniczy, przekorny a zarazem twórczy. Posłużę się tu kategoriami, które wprowadził w swoich znanych wywodach o tym, „w co grają ludzie”, psycholog Eric Berne — i powiem, że w interpretacji współgrają rodzaje aktywności, odpowiadające trzem „stanom ego” interpretatora: Rodzica, Dorosłego i Dziecka. Zdecydowane dominowanie któregoś z nich spycha interpretację na mielizny nieproduktywnej jednostronności. Albo zastyga ona w rytuale tradycyjnej wykładni i arbitralnych wartościowań; albo staje się ćwiczeniem analitycznym, tyleż perfekcyjnym, co jałowym; albo przybiera charakter chaotycznego próbowania się z tekstem: w y z w o l o n e g o odczytywania, któremu obca jest troska o zasadność i weryfikowalność. Koniecznym warunkiem interpretacji owocnej wydaje się jakiś (trudny do określenia) stopień napięcia między tymi trzema nastawieniami.

Co interpretacja badawcza czyni z utworem? Wiadomo, że musi go przede wszystkim metodycznie rozczłonkować, wyodrębnić w nim strefy, warstwy czy fazy, w których kumuluje się materiał znaczeniowy. Następnie ma próbować przedostać się przez znaczenia bezpośrednio narzucające się w procesie rozbioru dzieła do głębszego poziomu zakonspirowanych infraznaczeń, na którym powinien znajdować się poszukiwany sens. Ten jednak będzie pozostawał zatwardziałe nieczynny (nic o nim nie potrafimy powiedzieć), dopóki nie wprowadzi się w pole lektury właściwych kontekstów, pośród których kształtuje się i tłumaczy semantyka dzieła. Dopiero wtedy utajony w jego podziemiach sens zacznie pracować na użytek interpretatora. Skąd jednak czerpie się pewność, że sens rozpoznany jest tym, o którym powinno chodzić? Skąd wiadomo, że w rozbiorze utworu uwzględniono akurat te segmenty i płaszczyzny, które należało? Na jakiej podstawie przyjmuje się, że znaczeniowa głębia utworu jest w nim tak, a nie inaczej zlokalizowana? Dlaczego uważa się, że sens sekretny tam się właśnie mieści, a nie, powiedzmy, na powierzchni — niczym skradziony list w opowieści Poe’go? I co w końcu sprawia, że z niemożliwej do określenia mnogości kontekstów utworu te, a nie inne zostały wybrane jako najwłaściwsze?

Wszelkie tego rodzaju pytania kierują w stronę wspólnej im odpowie-

dzi: źródłem, z którego wypływa pewność pociągnięć interpretatora jest określona teoria literatury (doktryna teoretycznoliteracka), która wyznacza obszar jego spostrzegawczości i wiedzę o ustroju dzieła. To ona rozstrzyga za nas — gdy jesteśmy jej zwolennikami — jakie jest rozwarstwienie i zhierarchizowanie elementów budujących semantykę tekstu; z niej czerpiemy typologię jego znaczeniorodnych kontekstów; z niej dowiedzieliśmy się, że dzieło mieści w sobie milczkową głębię sensu, która tylko wtedy przemówi, gdy potrafimy ją do tego namówić. A potrafimy, ponieważ właśnie z akceptowanej teorii literatury wywodzi się każdorazowo metodyka skutecznego postępowania z utworem (język interpretacji, jak go gdzie indziej nazwałem): procedura analizy i procedura relatywizacji kontekstowych. Posługując się nią, musimy zważać, by nasze posunięcia pozostawały posłuszne jej zaleceniom (czyń tak a tak), preferencjom (czyń raczej tak, a nie inaczej), zakazom (tego robić nie powinienes), i przyzwoleniom (możesz to a to), a zatem następowały w zgodzie z pewnym algorytmem.

Pewność siebie interpretatora płynie więc stąd, że działania, którym się oddaje, mają teoretycznoliterackie uprawomocnienie. Jednakże rozumienie utworu, jakie zdołał w ten sposób osiągnąć, nie jest dla niego doświadczeniem nowym; w poważnej mierze został już tym rozumieniem uprzednio obdarowany — przez teorię. To, do czego przez interpretację doszedł, wydaje się bardzo podobne do tego, od czego wyszedł; w gruncie rzeczy odkrył w dziele głównie to, o czym już z góry wiedział, że się tam znajduje. Dotarł do teoretycznie koncesjonowanego podziemia tekstu.

Interpretacje silnie uprawomocnione są — jeśli tak rzec wolno — dziedziną luksusu i rozrzutności. Same przez się bowiem nie mają znaczenia teoriiotwórczego; architektonika conceptualna doktryny, od której są zależne, nic im nie zawdzięcza. Ich zadanie polega na tym, że wytwarzają efekt nadmiaru skuteczności i płodności danego języka doktrynalnego, który poprzez nie manifestuje swoją siłę poznawczą: udowadnia, że jego panowanie wychodzi poza sferę teoretycznych konstruktów i obejmuje też dziedzinę indywidualnych obiektów (tekstów). W rzeczywistości kontroluje w pełni jedynie byt architekstu, hipotetycznego modelu, którego wariantami okazują się w rezultacie wszelkie teksty danej kategorii, jeśli tylko poddano je odpowiednim procedurom interpretacyjnym. W każdym u podstaw

rozpoznamy wytrwale pracujący mechanizm znaczeniowy, zaprojektowany dla owego tekstu modelowego. Jego szczęśliwe odnalezienie wieńczy interpretację, której główny cel został osiągnięty.

Wiadomo jednak, że takie pojmowanie interpretacji, bliskie gustom scjentyistów, zdecydowanie kłóci się z wyobrażeniami, jakie o niej mają zwolennicy dominujących dziś nurtów hermeneutyki literaturoznawczej. Najbardziej godnym uwagi zadaniem interpretacji nie jest bynajmniej — jak słusznie utrzymują — tropienie takiego sensu dzieła, który byłby tożsamy z sensem teoretycznie przewidywanym dla jakiejś klasy dzieł, lecz nieustępliwe dobijanie się do sensu nie dającego się przewidzieć, indywidualnego, nieuchwytnego dla zastawionych nań z góry kategoryzacji. Te, zamiast pomagać, stają się dla interpretatora przeszkodą na drodze jego usiłowań. Podejmując swoją grę, musi on zarazem wyzwalać się z ich usług, co oznacza świadomie wybraną rezygnację z poprzedzających interpretację upewnień i algorytmów działania. Punktem wyjścia pragnąłby uczynić zaprzeczenie jakiegokolwiek pewności — poczucie zagubienia wobec utworu, niemożność zrozumienia, doświadczenie dysonansu poznawczego. Staje naprzeciw tekstu, który chciałby widzieć — w tym właśnie momencie — jako oddalony, obcy i niedostępny, gdyż tylko taki wart jest wysiłku hermeneutycznego. Dopiero odkrywając swoją bezradność wobec przedmiotu, potrafi w sobie wzbudzić wolę zaradności. Wszystko, co dalej uda mu się dociec, ma wyrastać z tej wątłej podstawy: jako próba uporania się z pierwotnym dysonansem poznawczym, próba pokonania odległości dzielącej od utworu i próba zawładnięcia jego znaczeniową niedostępnością.

Sprawa, której dotykamy, jest poniekąd klasyczna; znana już Diltheyowi, przewijała się później wielokrotnie przez dyskurs hermeneutyczny — interpretacja jako działanie pozbawione archimedesowego punktu oparcia. Rzecz w tym, że jego brak jest czymś pożądanym przez interpretatora, nie zaś nieubłaganą koniecznością, na którą został skazany. Naprawdę bowiem znajduje on zawsze oparcie w swoim wyposażeniu kulturowoliterackim i profesjonalnym; dzięki temu może ogarnąć utwór wyprzedzającym pojmowaniem, domysłem czy „prekoncepcją”, co — jak wiemy od Heideggera i od komentatora jego odkrycia, Gadamera — stanowi naturalny początek procesu interpretacji. Umiejąc radzić sobie z utworem, pragnie jednak o tej umiejętności zapomnieć i wybiera jako punkt startowy — bezrad-

ność. Bez wątplenia odnajdujemy w tym pierwiastek jakiejś maskarady, czy — jak kto woli — udawania. Interpretator kreuje sytuację eksperymentalną, usiłuje działać w warunkach umyślnie przez siebie zaprojektowanych, zdecydowanie odbiegających od tego, co naturalne: *j a k g d y b y* uzyskał wolność od swoich dotychczasowych obligacji metodologicznych i teoretycznoliterackich — i oto przystępuje do dzieła bez oczekiwań i ułatwień. Z drugiej strony — w konsekwencji tego — zakłada także pewną hipotetyczną sytuację dzieła znajdującego się na swobodzie, wypuszczonego z uwięzienia w tym, co o nim dotąd wiadomo — z przyporządkowań i kategoryzacji, w których je przedtem umieszczano; żyjącego w pojedynkę na otwartej przestrzeni — i w takim właśnie stanie będącego wyzwaniem dla badacza.

Mamy tu więc do czynienia z eksperymentem poznawczym: można by go nazwać *eksperymentem spotkania nieuprzedzonego*. Wydaje się epistemologicznie równie dopuszczalny, co eksperyment odwrotnie ukierunkowany, który znajduje się u podstaw interpretacji silnie uprawomocnionych, a mianowicie: przyjmowanie założenia, że nasza dotychczasowa wiedza i wyposażenie pojęciowe są w pełni wystarczające do uporania się z obiektem, który bez żadnych zapowiedzi pojawia się po raz pierwszy w naszym kręgu widzenia. Odgrywamy wtedy spoufalenie z przedmiotem nieznanym i nieprzejrzystym, traktując go tak, *j a k g d y b y* był z góry przewidziany w swojej zrozumiałości. Określiłbym to jako *eksperyment ekstrapolowanej kompetencji*. W istocie rzeczy cała sprawa interpretacji mieści się w polu między tymi dwoma typami doświadczeń.

Z punktu widzenia interesów doktryny teoretycznoliterackiej praca interpretacyjna ma zadania głównie instrumentalne: polega na umiejętnym diagnozowaniu utworu w celu kolejnego potwierdzenia sprawności urządzenia diagnostycznego. Natomiast w perspektywie eksperymentu spotkania nieuprzedzonego — to właśnie teoria nabiera charakteru instrumentalnego, ponieważ może być przez interpretatora traktowana po prostu jako składnica chwytów, mniej lub bardziej użytecznych, ale też i nieużytecznych. W jego wyborach nie liczy się wzgląd na zasadność i systemowe uwiarygodnienie stosowanych środków, a tylko ich momentalna owocność heurystyczna. Doktryna teoretycznoliteracka traci wtedy znaczenie jako konstrukcja

intelektualna, którą powinno się wciąż umacniać i uspoźniać. Jej integralność przestaje być przedmiotem troski; przeciwnie — można ją bezceremonialnie naruszać w imię doraźnych potrzeb.

Taki brak respektu dla teoretyczności teorii jest oczywiście szczególnie odczuwalny wtedy, gdy dotyczy założeń i upodobań doktrynalnych ugruntowanych w szkole badawczej, z którą identyfikuje się interpretator. Oznacza bowiem, że nie traktuje on poważnie zobowiązań wobec tego, co najbliższe, że pragnąc usilnie działać na własną rękę, gotów jest sprzeniewierzyć się Metodzie, którą podtrzymuje przy życiu jego macierzyste środowisko. Ale przecież brak respektu obejmuje nie tylko środowiskowy paradygmat, ale wszelkie konceptualizacje teoretyczne. Przejawia się w szczególności w tym, że praktyka interpretacyjna nie liczy się z granicami dzielącymi języki badawcze: potrafi wciągać do wspólnych akcji elementy pochodzące z dowolnie odległych wzajem języków, niefrasobliwie je mieszać, nie cofając się przed niekontrolowanym cklektyzmem (ten bowiem naprawdę zagraża kompozycjom teoretycznym, a nie interpretacjom). Tak czy inaczej lokuje się zawsze w międzydoktrynalnej nieokreśloności, co stanowi o jej znaczeniu dla życia dyscypliny. Dzięki takiemu usytuowaniu jest bowiem zdolna wprowadzać w ruch współdziałania — wprawdzie chaotycznego, ale i efektywnego — różne problematyki i różne metody, pozostające skądinąd w stosunkach „antywzajemności”.

Aby jednak metodologiczna nieokreśloność interpretacji okazywała się twórcza, musi występować w kontekście wyraźnych określoności. Niczym powietrze są jej potrzebne wytrwale pielęgnowane dogmatyzmy szkół badawczych i literaturoznawcze tradycjonalizmy, gdyż tylko w odniesieniu do nich może szczęśliwie odkrywać i odgrywać swój antydogmatyzm i wolność od wytestowanych wzorów dociekań. Poza tym negatywnym kontekstem nieuchronnie wiotczeje i marnieje, jak każda zdezorientowana samowola. Toteż kryzys stanowczości i uporów w podtrzymywaniu doktryn teoretycznoliterackich, który dziś przeżywamy, jest zarazem (i inaczej być nie może) kryzysem produktywności interpretacji.